Nr. 4. We Lwowie, kwiecień, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W kwietniu wolno polować na cietrzewie i głuszce, dropie i pardwy. Na ptactwo błotne i wodne i na słomki do 15-tego.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na II-gi kwartał r. 1923 wynosi 8.000 Mkp.

Cena pojedynczego egzemplarza 2.000 Mk. — Prenumerata na II-gi kwartał r. 1923 — 5.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 200.000 Mk, 1/2 str. 100.000 Mk, 1/4 str. 50.000 Mk. 1/8 str. 25.000 Mk, 1/16 str. 15.000 Mk, 1/32 str. 7.000 Mk. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

F. ROŻYŃSKI i Dr. E. SCHECHTEL.

Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju.

(Praca odznaczona I-ą nagrodą na konkursie Pol. Tow. Łow.)

(Ciąg dalszy).

W r. 1908 wynosił czynsz dzierżawny na tereny łowieckie, podlegające według ustawy przymusowej dzierżawie (posiadłości niżej 200 morgów gminne i miejskie) 2,195.916 K, czyli po 7 hal. za 1 mg, dobra rządowe dały 222.160 K, czyli po 9 hal. za 1 mg, dochód zaś z własnych polowań (powyżej 200 mg), oszacowano na 20 hal. z jednego morga, czyli dały 3,761.228 K. Razem więc w tym roku dochód z terenów łowieckich Węgier wynosił 6,179.304 K.

Wartość sprzedanej zwierzyny ubitej i żywej, wynosiła w r. 1908 — 5,161,397 K, przyczem należy zaznaczyć, że liczono ceny bardzo nisko. Tak n. p. jelenie liczono za sztukę po 50 K, daniele po 40 K, sarny po 10 K, dziki po 30 K, króliki po 0.20 K, kuropatwy po 0.60 K, kaczki po 0.60 K i t. d.

Węgry otrzymały ustawę łowiecką w r. 1883. Wtedy było — jak podnosi sprawozdanie węgierskie — łowiectwo ich jeszcze w kolebce i bardzo niewielu rozumiało jego doniosłość ekonomiczną. To też pierwotne przepisy ustawy, które nie mogły się liczyć z nieoczekiwanym rozwojem łowiectwa i już po niewielu latach okazały się niewystarczającemi, musiały być uzupełnione. Wśród nich, jako najważniejsze i kładące kres wielu nadużyciom podnosi sprawozdanie Komitetu Międzynarodowej wystawy w Wiedniu w r. 1910, rozporządzenie, mogą którego gminy muszą obowiązkowo w drodze publicznej licytacji wydzierżawiać prawo polowania. Z wolnej ręki wolno wydzierżawiać tylko za specjalnem pozwoleniem władz rządowych. Część warunków dzierżawy może ustanawiać gmina, ale reszta (strona gospodarcza) stoi pod kontrolą państwa i wtedy tylko może być zatwierdzona, jeżeli odpowiada wymogom racjonalnej gospodarki. Niemniej ważnem było rozporządzenie zwrócone przeciw kłusownictwu, mocą którego wolno sprzedawać żywą i ubitą zwierzynę tylko osobom uprawnionym i zaopatrzonym w urzędową legitymację.

Akcja rządu streszczała się w następujących punktach: *a)* tępienie szkodników przez wyznaczenie premji za odstrzał (w ciągu 10 lat 26.500 K). Wskutek tego, szkoda roczna państwa zmalała w ciągu lat 10 o połowę i w r. 1910 już tylko około 30.000 K, *b)* szczególnie doniosłe znaczenie dla rozwoju łowiectwa węgierskiego miały towarzystwa i kluby łowieckie, a przedewszystkiem Węgierskie Krajowe Towarzystwo Łowieckie. Rząd subwencjonował ją gotówką, organ jego uznał za swój oficjalny i przez abonowanie jego dla swoich funkcjonarjuszów, zapewnił mu duży nakład. Za wzorem Krajowego Towarzystwa powstało wiele powiatowych, które w swoim zakresie zajmowały się tępieniem szkodników i racjonalną hodowlą pożytecznej zwierzyny. Rząd zajmował się i temi towarzystwami, poddawał ich statuty rewizji fachowej i pod względem narodowo-ekonomicznym, stworzył — zastrzegając sobie prawo zakładania tych towarzystw — ścisły związek między niemi, ustanawiając przy Ministerstwie Rolnictwa osobny Oddział i wspomagając go finansowo. Według wykazu Odziału rachunkowego Ministerstwa Rolnictwa, rozdzielono między 115 towarzystw myśliwskich na Węgrzech od roku 1903 do 1910 około 33,000 K w gotówce, oraz w naturze 2.566 sztuk bażantów, 698 kuropatw i 8.720 zajęcy. Te cyfry dają dowód życzliwej uwagi, jaką poświęcił rząd węgierski łowiectwu na terenach gminnych. Możnaby wymienić wiele miast i gmin, które swe nowo wybudowane szkoły, szpitałe i inne społeczne urządzenia wybudowały z dochodów za dzierżawy prawa polowania *c)* szkolnictwo nie zaniedbało również swego obowiązku względem łowiectwa. Zarówno Akademja leśna, jak i niższe szkoły dla straży leśnej (4), zawierają w swych programach obowiązkową naukę łowiectwa. (C. d. n.)



WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Heco, heco, hedżgoha!

Pamiętniki charciarza.

Słowo wstępne. — Inwokacja. — O polowaniach z chartami. — Jakie mają być charty. — Jakie konie do polowania z chartami najlepsze. — Mój mistrz. — Ostatnim tchem zwycięzca. — Lisia kąpiel. — Lis bez psów sforsowany. — Niezwykłe skoki. — Nieudana próba sforsowania lisa. — Życzliwe rady Michała furmana. — Wodzirej weredyk. — Jeszcze jeden sforsowany zając. — Niezręczny dojeżdżacz. — Coś niecoś o moich chartach. — Dugiaś i Szejtan. — Piękna gałganka. — Kłapacze. — Pomoc dajcie mi rodacy. — Ciekawe polowanie. — Co się prócz lisów i zajęcy szczuć przydarzyło. — Polowanie zimowe. — Lepszy rydz, jak nic. — Spadam wraz z chartami mykicie na łeb. — Daremna praca, daremny trud. — Cierpliwość wynagrodzona. — Walka o rekord. — Kompromitacja Lasoty. — Mykita redivivus. — Głupie charty. — Przerwane zaloty. — Zagadkowy taniec lisa.

(Ciąg dalszy)

23. Spadam wraz z chartami mykicie na łeb.

Miałem ci ja teren do zimowych polowań z chartami, do dyspozycji ogromny. Swoich około 2.000 morgów, dzierżawiłem duże gminne obszary, a sąsiedzi znając moją pasję, pozwalali na swoich polach szczuć lisy. Wreszcie, trzeba się do tego przyznać, że się czasem i „raubszycowało“, gdy uniosła sacra vulpis fama. Terytorja moje, mniej więcej równoległobok tworzące, ciągnęły się od Podhajec i Telaczego, po Strusów i Kozłów, pewno kilkadziesiąt tysięcy morgów. Najlepszy kąt był między Kusiem, Telaczem a Kalnem, tu bowiem kozowski las Zbójne, niewyczerpaną był skarbnicą tych żółtych łotrzyków. Tylko teren do objeżdżania był w tym kącie bardzo trudny, pełen homyszy, ścianek stromych i deber.

Jeżdżąc raz po tym Eldorado myśliwskim, spostrzegam lisa grzejącego się do słońca, w samym środku wysokiej, stromej ścianki. Musiałem bardzo daleko objeżdżać, gdyż niemożliwością było, wprost na ściankę z końmi i sankami się wywindować. Jestem nareszcie ponad miejscem, gdzie lis siedział, lecz nie mam pojęcia, czy on jeszcze tam leży, czy już pomyszkował gdzie dalej. Z góry go bowiem nie widać.

Ponieważ ścianka była tak stroma i głęboko śniegiem zasypana, że końmi jechać nie było sposobu, wysiadam więc i na los szczęścia idę, prowadząc charty na smyczy.

Wchodzimy na olbrzymi wiszar śniegowy, ten się pod nami obrywa, i spadamy na łeb, na szyję, wprost na leżącego mykitę.

Przerażenie jego było wielkie, a dla mnie teatrum wspaniałe, lis bowiem zbiegł ze ścianki, charty za nim, a ja siedząc na śniegu, obserwowałem cały przebieg dramatu, jak z teatralnej loży.

24. Daremna praca, daremny trud.

Razu jednego, gdyśmy już bardzo długo daremnie myszkowali, przejeżdżając szeregi nadstrypiańskich wzgórzy, tyle wsławionych bitwą pod Siemiekowcami, roku pańskiego 1915, to znów spuszczając się w strome jary nad rzeczułką Tudynką, nareszcie obaj równocześnie spostrzegamy „jego“.

Leży w słońcu na zboczy, ale jeszcze bardzo daleko. Wytężamy cały nasz spryt myśliski i długiem doświadczeniem nabytą przebiegłość. Lege artis objeżdżamy tyle upragnioną, a tak długo wyglądaną zdobycz. Wreszcie dystans coraz bliższy, już może tylko 500 kroków nas dzieli. Pod noszę baranicę, pokazuję chartom lisa. Wyskoczyły, pognały, stanęły i z pogardą patrzą na nas.

Cóż się stało?

Objechaliśmy i poszczuli w ciężkim mozole, kawał czerwonego, podolskiego kamienia.

Innym znów razem, lustrując pagórki nad górną Tudynką się ciągnące, zaraz z południa spostrzegamy lisa. Zajeżdżamy mu z prawego, lis, szczwana już widać sztuka, pełnym pędem wydziera na lewo. My w lewo, on w prawo, a trzyma nas ciągle w jednakowej odległości i nie pozwala nam się zbliżyć do siebie. Robiliśmy co było można, używaliśmy najchytrzejszych sztuczek zawodowych. Trafiliśmy widocznie na mądrzejszego od nas.

Pełnych pięć godzin trwało to szalone chassé-croisé. Ani razu mykita nie dał się nam do siebie zbliżyć, na możliwą do szczucia odległość.

Para ochwaconych broniaków i to z tych lepszych i kanibalski katar, oto rezultat tego zawziętego polowania.

Do całkiem już nieprawdopodobnych, a jednak prawdziwych pechów, zaliczam dzień ów pamiętny, kiedy cztery lisy objechałem, szczułem, a żadnego nie wziąłem na sanie. Wszystkie uciekły do jam.

Na wszystko myśliwy zawsze znajdzie wytłómaczenie i uniewinnienie. Czy to na trzydzieści kroków chybi do siedzącego zająca, czy do dzika kłusem idącego na dziesięć kroków dwa razy bezskutecznie z ekspresu wygarnie.

Tak też i ja was zapewniam, Towarzysze moi, że pole było złe, że dęło spodem, że teren był mi nieznany,

25. Cierpliwość wynagrodzona.

Przyjechał do mnie nowicjusz, który takiego polowania w życiu nie widział, mój bratanek Michał, zwany popularnie Makułą.

Pole dobre, aura miękka, więc jazda na polowanie. Nie było jednak nad nami błogosławieństwa św. Huberta. Trzy dni z rzędu powracaliśmy z próżnemi rękami. Ja zły i zmartwiony, Makuła klnący na czem świat stoi, to przeklęte, nudne polowanie, gdzie człek, nie wiedzieć po co, włóczy się po całych dniach po polach, konie zmęczy i sam się nudzi.

Czwartego dnia, ledwie go uprosiłem, żeby znów ze mną pojechał szczęścia próbować.

Miałem wtedy saneczki myśliskie, patent Rosochowaciec, własnego pomysłu. Na przodzie wysokie siedzenie na dwie osoby, aby daleko było widać, z tyłu wygodne pomieszczenie dla chartów i chłopca.

Wzięliśmy z sobą wszystkie Ochrymowieckie. Pojechał więc Dolot stary, Lala i Birka. Ja z Lassotą z przodu, Makuła z chartami z tyłu.

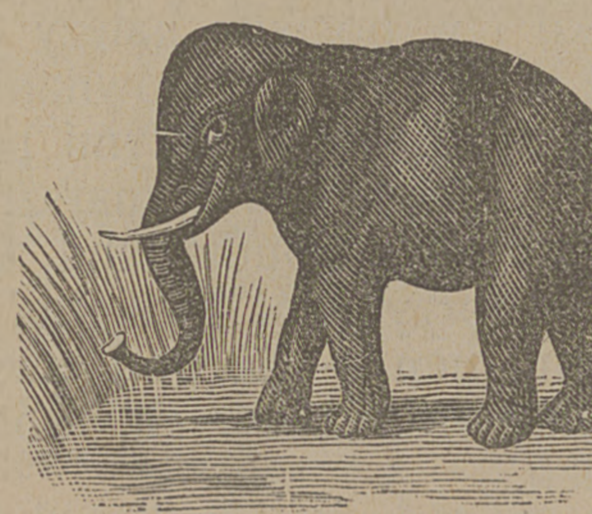
Zawsze pech ten sam. Cały dzień, prócz jastrzębi i gawronów, nie widzieliśmy nic. Wreszcie pod wieczór, gdy się słońce już dobrze ku zachodowi miało, znowu w komyszach nad Tudynką, zjeżdżając z pagórka, widzimy na przeciwległej górze, dwa lisy w kupie. Źle, powiadam. Puścimy charty, lisy się rozlecą, psy także, trzciny blisko, nic z tego nie będzie.

Ale puścić charty trzeba, więc pomagaj św. Patronie myśliwych, mrugnij urocza Diano łaskawie oczkiem, Michał podnosi koc i pokazuje chartom, bawiących się ze sobą mykitów. Szarpnęły się charty. Hedź-go-ha!

Na ten krzyk dla nich złowrogi, lisy się rozdzielają, jeden w lewo, drugi w prawo bieży. Charty jakby się umówiły, rozdzielają się także, Dolot i Lala za jednym, Bireczka za drugim.

My stoimy w saniach i patrzymy na ten dla każdego, co czuje po myślisku, cudowny obraz, podwójnych gonów. A wszystko tak blisko, że jak na dłoni widać i wcale końmi z miejsca ruszać nie trzeba. Dolot i Lala pierwsze swego pacjenta zoperowały. Bireczka trochę dłuższą miała robotę, bo po pierwsze szła w pojedynkę, a po drugie, lisisko było ogromne, a ona misterna. Lecz i ona niezawodna, swoje zrobiła i dumna ze zwycięstwa, położyła się obok trupa.

My z Lassotą zacieramy ręce, a spoglądając na siebie, radujemy się naszem szczęściem i dobrocią chartów. Makuła zaś nagle przemieniony w charcianego entuzjastę, tańczy za nami na saniach piekielną sarabandę i wiwat stryjcio, krzyczy. (C. d. n.)



JÓZEF HR. POTOCKI.

Z obcych światów.

Nad Setitem.

Kartki z wyprawy myśliwskie),

Pierwsza myśl skierowania naszej wyprawy myśliwskiej nad rzekę Setit powstała na statku „Helouan“, linji dawnego Lloyda austrjackiego, dzisiaj włoskiego, w drodze z Tryjestu do Aleksandrji. Przyczyną jej była rozmowa z niejakim p. Pastori, komersantem włoskim, współtowarzyszem podróży naszej, mającym interesy handlowe w włoskiej Eritrei. On to podczas obiedniej gawędy, nieproszony i niepytany, niemal gwałtem narzucił nam swe „usługi“ i proponując wszelkie ułatwienia, a nawet własne samochody z Atbary i Kassali, wynosił pod niebiosa zalety okolicy nad brzegawi Setitu aż ku granicy abissyńskiej. Wszystkie jego projekty i obietnice, w których urzeczywistnienie nie wierzyłem od początku, później okazały się

istotnie zwodniczemi i fałszywemi, a nawet niebezpiecznemi do wykonania, jak n. p. droga samochodami przez pustynię z Kassali do Gedaref; naraziły mnie przytem na niepotrzebny, a znaczny wydatek przedwczesnego kupna pneumatyków do mitycznych samochodów p. Pastori, których nie mieliśmy nigdy oglądać. Szybko też zarzuciłem cały jego niefortunny projekt, ale faktem jest, że jemu zawdzięczamy pierwszą myśl Setitu. W Kairze zorjentowałem się, że tylko w Chartumie będzie można ułożyć plan wycieczki, gdyż, nie zorganizowawszy przedtem wyprawy, nie będąc „au courant“ lokalnych warunków i okoliczności, można to było ostatecznie uczynić tylko w samej stolicy Sudanu, w porozumieniu z miejscowemi władzami angielskiemi.

Biały Nil okazał się niemożliwy dla braku statków parowych, które wszystkie zostały przedtem wynajęte, pozostawał jeno Nil Niebieski i jego dopływy, jak Dinder, Rahad, względnie Setit, jako dopływ Atbary, rzeki, która wpada do Nilu około stacji tegoż nazwiska na linji kolejowej Wadi-Halfa-Chartum.

4-go lutego wyruszyliśmy do Chartumu, wymieniwszy przedtem kilka depesz z p. Skirmuntem, naszym rodakiem, a bratem stryjecznym dzisiejszego ministra spraw zagranicznych, zajmującym w rządzie angielsko-sudańskim ważne dla spraw myśliwskich stanowisko dyrektora departamentu zwierzyny (Head of the Game Departament), którego uprzedziłem jeszcze z Londynu w grudniu zeszłego roku o swym projekcie odwiedzenia Sudanu.

Nie będę opisywać dobrze mi znanej drogi do Chartumu, którą już raz przedtem odbyłem, a która pod względem wygody na statku i w pociągu należy do najmilszych podróży — zaznaczę tylko, że w porównaniu z tem, co było przed 20-tu laty, znalazłem olbrzymi postęp w udoskonaleniu i skróceniu tej interesującej marszruty. Na statku na Nilu spotkaliśmy księstwa Southerland, którzy z drugą parą swoich angielskich przyjaciół wybierali się na daleką wyprawę Białym Nilem, hen — aż pod zwrotnik, na jednym z nielicznych statków rządowych, który wynajęli od władz anglo-sudańskich.

Po czterech dniach i czterech nocach miłej i wygodnej podróży, 9-go lutego wieczorem stanęliśmy w Chartumie, na dworcu uprzejmie powitani przez p. Skirmunta, który nas odrazu wprowadził in medias res całej sprawy, tyczącej się naszej ekspedycji.

Wycieczka na Dinder okazała się niemożliwą dla braku wielbłądów. Niemal wszystkie bowiem są w owych miejscowościach użyte do robót przy budowie wielkiej tamy na Nilu Niebieskim; coś w rodzaju takiejże słynnej grobli pod Assuanem. — Tam, gdzie około Senaaru, 20 lat temu, polowałem na lwy, dziś pracuje 15.000 ludzi, a zwierzyna wypłoszona daleko, aż pod Roseires, gdzie wówczas był kres mojej pierwszej sudańskiej wyprawy. Zresztą jedna partja angielskich myśliwych już przed nami wyruszyła była w tamte strony i jakoby ugrzęzła w Senaarze, dla braku wielbłądów. Dla nas pozostawał tylko Setit i w tym kierunku zwróciłem swe starania.

Na stanowisku wielkorządcy Sudanu zastałem jednego z moich dawnych znajomych z przed 20 lat, jenerała Staksa; wówczas był on skromnym „bimbaszi“ w anglo-egipskiem wojsku — dzisiaj — „sirdar“, czyli generał-gubernator olbrzymiego kraju, równającego się Europie bez Rosji. Znajomości tej zawdzięczam wiele ułatwień w urządzeniu naszej wyprawy, przedewszystkiem udzielenie nam dwóch samochodów rządowych do Gedaref, pożyczenie namiotów wojskowych, rekomendacje do władz prowincjonalnych i t. p.

Wdzięczny też jestem panu Skirmuntowi za starania, których nie szczędził, aby nam odpowiednich ludzi wyszukać i wszystko ułatwić, oraz za prawdziwie polską gościnność, z którą nas podczas naszego pobytu w Chartumie w swej ładnej rezydencji, w utworzonym przezeń niewielkim, ale uroczym ogrodzie zoologicznym, podejmował. Pan Stanisław Skirmunt jest synem p. Kazimierza, brata pp. Aleksandra i Henryka z Porzecza i Mołodowa, gdzie w młodocianym wieku przed wielu laty pierwsze w życiu mem łosie ubiłem. Dwadzieścia pięć lat już mieszka w Sudanie, lubiany i ceniony przez kolegów i przełożonych Dawniej pracował w wydziale leśnym, od paru lat piastuje jak wspomniałem wyżej, urząd Dyrektora Departamentu Zwierzyny. Mimo tak długiego przebywania na dalekiej obczyźnie zachował rodzinną mowę, a przedewszystkiem serce polskie i szlachetne tradycje z domu wyniesione. Sześć dni w Chartumie szybko upłynęło na przeróżnych przygotowaniach do wyprawy, którą właściwie dopiero tutaj w całości zorganizować wypadło; wszystko tu należało kupić, zaczynając od zapasów żywności, trunków, rozmaitych przyrządów i sprzętów, aż do kompletnego ekwipunku, do życia obozowego potrzebnego.

Wszystkiego dostarczył dom kupiecki Morchic et Co, którego właściciel, usłużny Syryjczyk, zajął się osobiście zestawieniem i ułożeniem kompletu potrzebnych nam rzeczy. Broń nasza dosyć skromnie się przedstawiała, albowiem, cały mój dawny arsenał afrykański przepadł w pogromie Antonin i zaledwie kilka strzelb udało się było wyratować.

Mieliśmy zatem dwa doskonałe sztućce Springera kal. 450, dwa Mannlichery 9 mm. z lunetami, jeden karabin firmy angielskiej Rigby kal. 350 (bez lunety), pożyczony Józiowi przez pana Tadeusza Halperta i trzy śrutówki angielskie kal. 12, minimum tego, co absolutnie było potrzebne. Brakowało grubego kalibru na słonie; kilka ich posiadałem, lecz niestety wszystkie przepadły. W biurze pana Skirmunta t. zw. „Game Département“ czyli departamencie zwierzyny, załatwiłem ważną sprawę „licencji“ czyli pozwoleń urzędowych na prawo polowania w Sudanie. Są to dokumenty, obejmujące spisy wszelakich gatunków zwierzyny, znajdujących się w poszczególnych regionach kraju, od słonia począwszy, aż do drobnych gazelli i ptaków; limitują one prawo odstrzału do większej lub mniejszej ilości głów, zależnie od ilości danej zwierzyny, domniemywanej w poszczególnych okolicach każdej strefy. Nad Bahr-El-Gazal'em np. wolno zabić więcej antylop, niż nad Setitem, pewne zaś rodzaje zwierza, jak nosorożec biały (R. Simus), zebry, żyrafy i niektóre ptaki, jak struś, białe czapelki (Ardea Egretta), są pod wyłączną opieką prawa i zpełnie strzelać ich nie wolno; słoń nad Setitem (samiec wyłącznie), limitowany jest do jednej sztuki, również kudu i t. p. Lew i wszelkie felidy są poza prawem, zresztą wszystkie zwierzęta, nawet drobne gazelki, są ściśle określone i odstrzał ich surowo ograniczony. Licencji jest dwa rodzaje: A i B; pierwsza obejmuje całą faunę od najgrubszego zwierza do drobnych, druga tylko gazelle, did-diki i mniejsze ptaki łowne, jak pantarki, przepiórki i t. p.

Pierwsza kosztuje 50 Ł. za osobę, czyli na trzech myśliwych, wydatek dosyć znaczny, druga 5 Ł., ale do większej wyprawy nieprzydatna i służy niemal wyłącznie urzędnikom i oficerom różnych garnizonów, w głębi kraju porozrzucanych. Wszystko oparte na dobrej wierze i podpisie myśliwego, a zatem tem więcej krępujące. Przy końcu wyprawy, każdy myśliwy musi złożyć pisemne zeznanie, wiele zabił, i słowem honoru potwierdzić spis ubitej przezeń zwierzyny. W razie przekroczenia limitowanej ilości sztuk i za niektóre rodzaje, np. żyrafę nad Setitem, drugiego kudu lub Roan'a ponad dozwoloną ilość — należy uiścić dodatkową wysoką opłatę, ale, broń Boże, fałszywie zeznać, lub starać się coś utaić, jest się bowiem pod tajną kontrolą własnych ludzi i — ktoby się chciał mala fide z pod rygoru prawa wyłamać, temu nie radziłbym drugi raz do Sudanu powracać, nie mówiąc już o moralnej kompromitacji wobec innych sportsmanów całej kolonji angielskiej.

W Chartumie, przeważnie z rekomendacji pana Skirmunta, nająłem odpowiednich ludzi do karawany. Czynnik

to w myśliwskiej wyprawie niezmiernie ważny, od którego bardzo wiele zależy — i z góry powiedzieć mogę, że wybór był trafny i ludzie okazali się odpowiedni. Umówiłem zatem kucharza, umiejącego parę słów po francusku, zupełnie dobrego obozowego kopcidyma, który niesłychanie szybko i sprawnie umiał z bylejakich prowizji i konserw smaczne potrawy zgotować, potem taxidermistę, gadatliwego Osmah Combo, znającego nieźle swój fach, dwóch t. zw. „boy“ do usług osobistych i podawania do stołu, wreszcie „Headmana“ czyli kierownika karawany, niejakiego Gellada, który już w kilku wyprawach myśliwskich uczestniczył i posiadał pierwszorzędną zaletę, gdyż jeden jedyny w całym zespole naszej karawany mówił płynnie po angielsku.

Nieznajomość miejscowego języka stanowi brak olbrzymi i na każdym kroku daje się we znaki, a z moim arabskim, który był mi już dawno z pamięci wyleciał, nie daleko mogłem zajechać.

Zapomniałem też wspomnieć, że miałem z sobą mego służącego Kacpra, który zawiadywał polową spiżarnią i piwniczką i w ciągu całej podróży doskonale wywiązał się ze swoich funkcji.

Nareszcie, po sześciu dniach mozolnych starań i bieganiny bez końca, wszystko było gotowe, zapakowane w odpowiednich skrzynkach, dostosowanych do dalekiej podróży — i 8-go lutego po południu wyruszyliśmy w drogę koleją do Wad Medani (około 230 klm. od Chartumu) w komplecie całej naszej karawany i z bagażami, których było około 60 sztuk. Samochody rządowe zostały wysłane dwa dni przedtem i miały nas oczekiwać w Wad Medani. Oprócz tego telegraficznie zamówiłem tamże 16 wielbłądów dla zabrania reszty pakunków, którychby na samochodach pomieścić się nie dało.

Marszruta nasza została ustalona w ten sposób, że automobilami mieliśmy dotrzeć wprost do Gedaref, a stamtąd wielbłądami wzdłuż rzeki Setitu aż do Umbregi nad samą granicą Abissynji.

Tam kres wyprawy, dalej iść nie wolno.

Z Chartum zamówiono dla nas w Gedaref z ramienia rządu osobne wielbłądy i ludzi. Mieli nas tam również oczekiwać specjalni łowcy, czyli „shikary“, jako przewodnicy wyprawy myśliwskiej, która właściwie dopiero w Gedaref rozpocząć się miała. Kolej do Wad Medani idzie wzdłuż niebieskiego Nilu po prawej jego stronie, licząc od Chartumu i zbudowana została przed kilkoma laty aż do Senaar, jako ostatniego punktu tej linji.

Gdy przed 20-tu laty w mej ostatniej wyprawie afrykańskiej wylądowałem z nilowej gajassy z doktorem Sztolcmanem w Wad Medani, nie przypuszczałem, że po paru dziesiątkach lat danem mi będzie w te same strony znów się zapędzić, tym razem koleją w ciągu kilku godzin, gdy przed laty na przebycie tejże przestrzeni zużyliśmy na barce krajowców całe 5 dni. Stąd rozpoczęliśmy wówczas polowanie, które dr. Sztolcman tak barwnie w swoich notatkach z nad Nilu Niebieskiego opisał.

Samo Wad Medani znalazłem znacznie powiększone, rozbudowane i ozdobione pięknemi willami miejscowych urzędników w otoczeniu ładnych ogrodów i plantacji. Wszędzie znać rozumną rękę angielskiego gospodarza, europejski porządek i cywilizację. Tu jest siedziba administracji gubernialnej prowincji, zwanej „Blue Nile Province“. Gubernator, światły i rozumny człowiek, oczekiwał nas z samochodem na dworcu i zaprosił na nocleg do swej willi. Nie jest on sportsmanem i nie przepada za wyprawami myśliwskiemi, przeciągającemi przez jego prowincję, ale dla nas był nader uprzejmy i podwładnym mu organom administracji rozkazał, by się nami zaopiekowały.

Dwa samochody szczęśliwie z Chariumu przybyłe, oczekiwały po drugiej stronie szerokiej w tem miejscu rzeki, należało więc zająć się przeprawą naszych licznych bagaży i wielbłądów promem na drugi brzeg Nilu, co, szczególnie z wielbłądami, dość było żmudne i długotrwałe. Rzeczy osobiste, broń, kilka paczek z prowizją, a przedewszystkiem znaczny zapas wody — ulokowano na samochodach, do których wcisnęła się cała nasza służba przyboczna. Sami siedliśmy obok szoferów, których z pomocnikami było aż pięciu — i punkt o trzeciej popołudniu 9-tego lutego wyruszyliśmy w drogę w imię Boże pod znakiem św. Huberta.

Samochody, rodzaj wozów ciężarowych z wygodnemi siedzeniami na przedzie obok szofera, mogącemi pomieścić ponadto jeszcze po dwóch pasażerów, były angielskiej firmy Crossby. Niezmiernie pakowne i silne, były jednak, niestety stare i zużyte wielką wojną we Francji, którą wraz z wojskiem angielskiem przebyły. W mechaniźmie ciągle więc coś szwankowało i psuło się, ludzie często musieli zeskakiwać i poprawiać maszynę, ale ostatecznie jechało się nieźle. W porównaniu z karawaną wielbłądzią było to dla nas olbrzymią wygodą, oraz skróceniem i ułatwieniem podróży.

Głównym szoferem był oficer armji anglo-egipskiej krajowiec, uprzejmie w tym celu przez Sirdara delegowany. Grzeczny i usłużny Egipcjanin, ale szofer nie tęgi. Nawiasem wspomnę, że za drogę z Wad Medani do Gedaref kazano mi zapłacić do kasy rządowej za samochody 175 Ł., czyli około 2,000.000 naszych marek nieszczęsnych. Droga z Wad Medani do Gedaref wynosi 134 mile angielskie, t. j. około 220 klm.

W pobliżu rzeki wegetacja jest bujniejsza. Duże drzewa i olbrzymie krzewy kaktusów i rozmaitych roślin tropikalnych o liściach twardych, jak bagnety, urozmaicają krajobraz. Pozatem pustynia niezmierzona, porosła żółtą, zeschłą trawą, gdzieniegdzie gaje drzew gumowych i ciernistej akacji — przestrzenie olbrzymie i wprost zastraszające rozmiarem tego bezbrzeżnego pustkowia. Wody źródlanej, prócz paru zaledwie miejscowości, na całej przestrzeni tej długiej drogi brak kompletny. Znaczny jej zapas dla ludzi i zwierząt z sobą transportować należy i biada podróżnikowi, któregoby jakiś wypadek zaskoczył w tej rozpaczliwej, o tej porze roku bezwodnej i w swej martwocie zastygłej krainie.

Po godzinie drogi przejeżdżamy suche łożysko rzeki Rahad, dopływu Nilu Niebieskiego. Odtąd pustynia coraz jednostajniejsza, równina bezbrzeżna, jakby odrętwiała w żarze słonecznym, w której majaczą miraże w blasku jaskrawego białego oświetlenia. W tym kraju cały rok okrągły o 6-tej noc zapada i o 6-tej rano słońce wstaje. Świt i zmierzch krótki, ognista kula szybko się chowa i noc zapada ciemna, czarna, oświetlona blaskiem miljardów gwiazd, jaśniej świecących niż u nas. W ciemnych przepaściach nieba na roziskrzonym firmamencie świeci krzyż południowy wśród gościńca bladych szlaków mlecznych.

Pierwszy nocleg wypadł nam w szczerem polu wprost na trakcie, którym jechaliśmy, o 26 klm. od Wad Medani.

Spaliśmy pod gołem niebem. Pogoda wciąż stała, upał niedokuczliwy, noce chłodne, ranki wprost zimne. Droga w sudańskiej pustyni — nie jest to trakt w naszem tego słowa znaczeniu, przez ludzi zrobiony i utrzymywany. Są to ścieżki wielbłądzie, pokryte zbitą, lub wyciętą trawą — ścieżki, któremi od wieku wieków ciągną karawany. O tej porze roku są one suche, a nawet dostępne dla samochodów, w porze deszczów jednakże przemieniają się szybko w bezdenne moczary i błotniste kałuże, przerżnięte licznemi strumykami i rzeczkami. Łożyska ich, teraz suche, są wówczas rwącemi potokami, wśród których nawet wielbłąd z trudnością jedynie posuwać się może,

Zwierzyny tego dnia nie spotkaliśmy wcale. Nazajutrz 10-go lutego, przed wschodem słońca byliśmy już na wozie, podążając w dalszą drogę.

Mijamy miejscowość, zwaną Szerif-El-Jakub. Okolica z równego stepu, pokrytego suchą, wysoką trawą, przechodzi w gęste gaje akacji i drzew gumowych. Spotykamy tu pierwszą zwierzynę: liczne stada pantarek (Numida vulturina), pojedyńczo, duże dropie, mniejsze bustardy z rodzaju strepetów; setki przepiórek zrywają się z pod kół samochodu. Z daleka dostrzegamy stado ślicznych antylop „arielów" (Gazella Sommeringii), dobrze mi znanych z Somalilandu, a zwanych tam „aule"; ale spłoszone automobilami podejść się nie dają.

Chłopcy zeskakują z wozów, zapuszczają się w dżunglę, padają pierwsze strzały i pierwsza zwierzyna na rozkładzie: cztery pantarki, ślicznie upierzone z czerwonemi uszkami. Odtąd ptaki te towarzyszyć nam będą bezustannie w ciągu całej wyprawy — istna żywa spiżarnia, z której w każdej chwili i wszędzie można się zaopatrywać w doskonałe pieczyste.

Zdaleka widnieją skaliste góry, jak olbrzymie wprost z ziemi wyrosłe kopce o nagich, urwistych stokach. Wjeżdżamy do ślicznej miejscowości, zwanej El-Fau, gdzie w głębokich źródliskach znajduje się pierwsza od Wad Medani woda.

Nigdzie nie widziałem w Sudanie tak oryginalnej miejscowości, jak El-Fau. Jak gdyby olbrzymia arena cyrkowa, równa jak bilard, drobnym żwirem, jakby umyślnie wysypana, obramiona naokół otaczającemi ją amfiteatralnie górami, nakształt wprost z ziemi wyrosłych, olbrzymich, jakby ręką ludzką symetrycznie rozłożonych kopców skalistych. Pośrodku tej areny tryskają źródliska dobrej i zdrowej wody, a setki karawan, ludzi i zwierząt zatrzymują się tutaj po znojnej podróży w pustyni.

Opodal zbudowany jest schludny „rest-house", (po sudańsku „Nusel"), czyli przytułek dla podróżnych. Schronisk takich, dzięki zapobiegliwości rządu angielskiego, są setki, rozrzucone po całym kraju przy drogach i traktach ku wygodzie i bezpieczeństwu podróżnych. „Rest-house" taki, zbudowany z trzciny, czy grubej słomy, strzechą nakryty, składa się z dwu jakby ogromnych ulów, otwartą galeryjką czyli werandą połączonych. Chroni od gorąca i wiatru, przytem jest przewiewny i względnie chłodny. Obok stoi trzeci dla kuchni i służby. Czystość i porządek całego obejścia utrzymuje specjalny krajowiec, zazwyczaj murzyn, osadzony w tym celu przy każdem takiem schronisku.

Gdyby nie ciągłe mankamenty w maszynach, bylibyśmy tego dnia z łatwością dotarli na nocleg do Gedaref. Wciąż się jednak coś psuło — to oliwa nie funkcjonowała, to pneumatyk pękał — dość, że ustawicznie musieliśmy przystawać, poprawiać i czas tracić, aż wteszcie noc zaskoczyła nas o 20 klm. od Gedaref, w miejscowości zwanej Gadembelja, gdzie znaleźliśmy „rest-house", który nam gościny udzielił. Po drodze widzieliśmy znowu oddzielne sztuki i małe stadka arieli, ale spłoszone, uchodziły przed automobilami.

Po chłodnej i smacznie przespanej nocy, wyruszyliśmy dość wcześnie w dalszą drogę i przed 10-tą rano stanęliśmy w Gedaref. Zastaliśmy tu telegraficznie zamówioną i starannie przygotowaną kwaterę w ładnym i wygodnym domku miejscowego kupca, Greka, nazwiskiem Micheli Giorgio, który posiada tu duży sklep kolonjalny najrozmaitszych produktów i zapasów, oraz skład sprzętów, do domowego gospodarstwa potrzebnych. Wprost dziwnem się wydaje, jak w tym zapadłym kącie czarnego kontynentu można dostać wszystkiego, co do życia obozowego jest potrzebne: prowizji i trunków przeróżnych, nawet wina szampańskiego doskonałej marki.

W kwaterze pana Michelisa roztasowaliśmy się wygodnie. Jest to, jak wszystkie niemal domki w tej części Sudanu, w kształcie dużego ula zbudowana chatka, nakryta strzechą, ale nie z trzciny, jak zwykle chaty krajowców, lecz ulepiona z gliny, chłodna i przestronniejsza, niż inne. W środku jest odkryta weranda, czyli ganek, łączący dwa domki.

Gedaref dziwnie miłe i sympatyczne wywarł na nas wrażenie. Ludność spokojna i usłużna, typ murzyński przeważa. Dzikie postacie napół nagich krajowców ze szczepu Hodendoa i innych ras z pobliskiej Abissynji i całego Sudanu tworzą ciekawy i malowniczy obrazek na pobliskiem targowisku. Ludzie uzbrojeni w dzidy, oszczepy i miecze o dziwnej, jakby średniowiecznej, saraceńskiej formie, z tarczami ze skóry bawolej albo antylopiej. C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

(Ciąg dalszy)

Wyjazd do Rosji — Podole w 1886 r.

W poszukiwaniu szczęścia i kawałka chleba, z flintą, psem i 85 rublami w kieszeni, udałem się w świat mi nieznany. Było to z mej strony lekkomyślnością straszną jechać do kraju, nie znając ludzi, stosunków i ich języka, lecz nad czem zastanawia się młodzik dwudziestukilkuletni, pełen ufności w swe siły i chciwy wrażeń, żądny przygód, którego tajemnicze kraje pociągały ku sobie, mamiły puszcze, zwierza pełne! Nie przeczuwałem wtedy, że tam zbiegnie mi najpiękniejszy okres mego życia, cała ma młodość i w starości powrócę do kraju odarty z ziemi i dorobku całego życia niemal, o żebranym chlebie.

Po długim pobycie na kontraktach kijowskich, na owe czasy tak sławnych swym przepychem, bogactwem i wesołemi zabawami, w czasie których jedni tonęli w rozkoszach i przepychu, inni ginęli z głodu i niedostatków, otrzymałem posadę urzędnika do spraw szczególnych w majątku Dystylowce w Hajsyńskiem na Podolu. Stanowisko moje mniej zależne, pozwalało mi niekiedy oddawać się mej pasji myśliwskiej, szczególniej, gdy straszna tęsknota za krajem, rodziną i drogiemi osobami, mną szarpać poczynała, szukałem ukojenia w samotnem włóczeniu się po samotnym stepie, a chwil takich miałem wiele w mem życiu.

Po ukończeniu robót polowych, nastąpił pewien czas względnego wytchnienia po znojnej pracy, użyłem go też na zaznajomienia się z okolicą i jej zwierzostanem.

Pewnej pięknej, ciepłej niedzieli kwietniowej wziąłem flintę, mego wiernego długouchego Lorda i wyruszyłem na przyległe pola sąsiedniego majątku Taszlickiego. Po długiej przechadzce, pies raptownie skręcił w łan bujnej oziminy, poszedłem za nim. Z podniesionym wysoko nosem i łapiąc chciwie w nozdrza powietrze, coraz więcej się wyciągając i idąc ostrożniej, prowadzi mnie ku widniejącym szarym kilku punktom, które początkowo uważałem za szarzejące kamienie w zieleni pszenicznej. Byłem jeszcze o jakich sto kroków, gdy owe przedmioty raptownie podniosły się na wysokie nogi i rozkładając białawe, szerokie skrzydła, kilku podskokami odbiły się od zieleni i wzleciały wysoko. Strzeliłem do pierwszego ptaka, spadł drugi, tuż za nim lecący. Sto siedem kroków leżał przedemną piękny drop (otis torda) wąsaty samiec z przestrzeloną szyją. Był to 40-to funtowy wąsal, pierwszy z bardzo wielu późniejszych mych zdobyczy tego rodzaju.

Zachęcony tak wspaniałą zdobyczą, po objedzie wyjechałem linijką jednokonną w dalsze stepy. Na jednem z obsianych pól, znalazłem dwa stada dropi, pasących się na świeżej runi. Zacząłem je okrążać i po kilku coraz bliższych kręgach, udaje mi się zaledwie zbliżyć na bardzo daleki strzał do zrywających się ptaków. Po strzale jeden odbił się, a zdradzając lot niepewny, opuścił się nagle za małym pagórkiem. Znalazłem go spacerującego z opuszczonem skrzydłem na świeżej roli. Nie dawał mi się wziąść, wymierzał ostre cięcia dzióbem i zdrowem skrzydłem przy mem zbliżaniu się. Byłem zmuszony go dostrzelić. Jak się domyślałem, musiał mieć śrutem nadwyrężoną kość skrzydłową i w locie ją dołamał. Wracając do domu, spostrzegłem poraz pierwszy orła, krążącego nad stadami pasących się gęsi w bliskości stawu pod wsią. Tak był zajęty swem polowaniem i zapatrzony w uciekające na wodę gęsi, że dał się podjechać na strzał. Spadł, jak ciężki kamień tuż przed koniem. Był to wspaniały orzeł przedni (aquila fulva).

Jakkolwiek polowałem tu z różnem szczęściem, fama moja, jako myśliwca szybko rozeszła się w okolicy i nie było polowania, w którem nie brałbym udziału. W tej okolicy Podola myśliwych było niewielu, szczególniej dobrych strzelców, zato kwitnęły tu bardzo charcie łowy, do czego tak nadawały się tutejsze tereny płaszczyźniane. Nie należałem do wielkich wielbicieli tego sportu, jeżeli brałem w nich czynny udział, czyniłem to więcej z zamiłowania do konnej jazdy i upodobaniem w wesołych, ochoczych zebraniach rycerskiej braci. W charcich łowach zaś kochał się tu każdy zawzięcie, magnat obszernych włości, dzierżawca, rządca, ekonom, prowentowy pisarz, gorzelnik, gumienny, lokaj, furman, a nawet ostatni stajenny ciura. Mógłbym śmiało dać „konia z rzędem“ temu, ktoby w święto lub niedzielę znalazł którego z tych panów w ekonomji, taka była zaciętość do tej gonitwy po polach, męczenia koni, duszenia mizernych zwierząt i rozbijania sobie głów niekiedy.

„Kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one“, mogę też to przysłowie do siebie zastosować, gdyż z biegiem czasu nabrałem pewnego smaku do tego rycerskiego sportu.

W sąsiedniej wsi Owsijówce za Bohem, miałem dobrego druha A. Potosiewicza, zawołanego charciarza, z którym nie jednego złowiliśmy lisa, udusili kota, podpalili konia, nie jedną noc przetańczyliśmy razem na balikach, proszonych herbatkach, a nawet popowskich „praźnikach“. Pewnego dnia byłem zaproszony do Owsijówki na większe polowanie, wyjechałem dość późno z domu, a przeprawiając się przy latarni przez Boh w Sułgatowie o mało nie zatonąłem. Gdy prom nie dobił jeszcze do wysokiego brzegu, ma wściekła klacz, wystraszona brzękiem łańcuchów, dała susa, i całym pędem wpadła do wody. Skąpaliśmy się po szyję, lecz cało i bez szwanku, wyszliśmy z tej przygody. Głębokim snem spało już wszystko na folwarku i we dworze, tylko w sypialni Protasiewicza przyśmiona gorzała lampa. Widząc mego druha smacznie śpiącego na swem łóżku, wymierzyłem mu tak silnego klapsa jego własnym pantoflem w obnażoną i na pokój wystawioną pulchną część ciała, lecz jakże zdumiałem się, widząc przed sobą wylękłego, nieznanego mi biedaka, krzyczącego gwałtu i zbierającego się do obrony. Na uczyniony krzyk zbudził się cały dom, sypialnię napełniły figury białe w negliżu, a cała heca zakończyła się śmiechem i zapiciem zdrowia obrażonego prystawa Miertowa z Berszady.

CH. ROBERTS. Feljeton.

Towarzysze boju.

(Tłumaczył z angielskiego Adam Tomaszewski).

(Dokończenie)

Gdy się wreszcie zbudził, uczuł się znowu panem swego losu. Na chirurgji Job nie rozumiał się wiele, ale doświadczony osadnik zna wyjście z każdej biedy. Grzebiąc w pamięci wśród wszystkich lekarskicn wiadomości, które kiedykolwiek pozbierał, wpadł na najszczęśliwszy pomysł. Wystrugał z kory i z lekkiego drzewa listwy i po długich próbach i wysiłkach udało mu się, choć piekielny ból w nodze odejmował mu przytomność, nogę w szynach nastawić i zabandażować. Kiedy zlany zimnym potem tego szaleńczego dzieła dokonał, stracił znowu przytomność.

Przyszły teraz długie tygodnie męczarni dla nieszczęsnego jeńca zimy. Noce, w których ból nie pozwalał mu zesnąć, dnie, w których wysiłki, by ogniem podtrzymać i trochę jadła przygotować, pożerały resztki jego sił. Pracą wielogodzinną było parę bierwion drzewa przyciągnąć do pieca i przyrządzić garnuszek herbaty. Lecz przemagał wszystko i po pewnym czasie ze zdumieniem spostrzegł, że wśród tych wszelakich mąk, apetyt jego nie osłabł. A wtedy zdjęło go nowe przerażenie, wyczerpał się bowiem zapas suszonego mięsa, a w parę dni później, skończyła się mąka i słonina. Rachując i skąpiąc, jak mógł, ograniczał się na coraz mniejsze racje, ale wyliczył, że przy największem głodzeniu się będzie mógł najwyżej jeszcze trzy tygodnie ntrzymać się przy życiu. Kiedy jego złamana noga stanie się znowu zdolną do użytku, nie mógł przewidzieć nawet, lecz miał niestety pełną świadomość, że te trzy tygodnie nie wystarczą, by mu swobodę ruchów przywrócić. Widmo grożącej mu już tak z bliska najstraszniejszej, bo głodowej śmierci, nie wtrąciło go jednak w beznadziejne zwątpienie, lecz uświadomiło mu tylko, że musi w jakiś sposób ten bój na śmierć i życie wygrać.

Na szczęście zapasy opału były prawie nie do wyczerpania. Mógł tedy przynajmniej bez ograniczenia ciągle palić i leżąc ukryty za otwartemi drzwiami ze strzelbą w pogotowiu, wypatrywać oczy w puszczę, czatując, czy przypadek szczęśliwy nie skieruje jakiej sarny albo renifera wprost przed jego lufę. Po długich dniach próżnego zawodu, przemógł się nadludzkim wysiłkiem i wyczołgał się z chaty, by w śniegu nastawić parę sideł i pułapek. Ale niemocny nieszczęśnik zrobił, pełzając, taki szeroki ślad między łapkami a chatą, że wystarczyło to, by płochliwa zwierzyna zdala omijała te niepokojące ślady. Zastanawiał się nieraz, że przecież musi być prócz srogości zimy i inna jakaś przyczyna, która sprawiła, że zwierzyna tej okolicy tak się rzadką stała. Poznał tę przyczynę pewnej nocy, gdy wśród cmentarnej ciszy, rozbrzmiało nagle w pobliżu złowrogie chóralne wycie, jakiego nie słyszał chyba jeszcze w czasach, jak, jak nad rzeką Makenzie sidła swe nastawiał. Wilki! Zaciągnął się mozolnie do okna właśnie na czas, by zobaczyć jak przez zaśnieżoną polanę

Równo ze wschodem słońca w 15 koni i 4 pełne smycze chartów wyruszyliśmy w pola. Dziś prowadził polowanie p. L. z Potaszny. Panował tu zwyczaj, że pierwszy szczwacz brał całą stawkę, jaką za prześlepienie leżącego kota w kotlinie płacić musieli inni. W tym kunszcie wypatrywania szaraka nikt nie dorównał p. L. — i wszystkie stawki bezczelnie z przed nosa nam zabierał. Poszczuł on i teraz pierwszy kota w wysokich burzanach i puścił swe ścigłe charty. Pierwszą szła jego Pólka (o której później nam łgał, że gdy mu odległa, wiązał jej szczeniaki na głowie i łowiła również dobrze!) lecz niebawem wyprzedził ją As p. Lisowskiego z liścia, co widząc L., chce przeciąć drogę psu, lecz całym pędem wpada na porucznika Krzyż. i walą się obydwa z końmi, szczęściem na miękką rolę. As pobił Pólkę. Po uszczuciu jeszcze kilku kotów, z burzanów wyskoczył lisek. Puszczono wszystkie psy, ruszyliśmy wszyscy z kopyta za nimi. Lis zmierzał w nadrzeczne bohskie urwiska, często znikał nam z widowni, wypływał na pagórki, wywijał kitą, za którą ciągnęła się długą linją psia gromada. Jakieś wychudłe, ogromne psisko rude, idące początkowo w ogonie całej kompanji, zaczyna mijać swych towarzyszów, pozostawia ich daleko w tyle, równa się z lisem, idzie chwilę z nim razem, a upatrzywszy stosowną porę, chwyta za puszysty kark, potrząsa zwierzątkiem i rzuca martwe na ziemię. Nagle powiał wiatr od błotnistych nizin i ciemny, gęsty tuman opuścił się nad polami, zasłaniając nam cały widnokrąg i uniemożliwiając nam dalsze polowanie, zawróciliśmy ku domowi.

(C. d. n.)



JÓZEF JABŁONOWSKI.

Koropiec.

Na samo brzmienie tej nazwy, dreszcz roskoszy przechodzi tych, którzy tam byli, którzy ze sztućcem w ręku przebiegali tę przecudną knieję, te parowy porosłe gęstą świerczyną, od których podmuch wiatru wraz z łagodnym zapachem żywicy przynosi ostry, a tak miły swąd dziczej chlewni, te urwiska, gdzie szum potoków miesza się z trzaskiem przechodzącego gąszczem stada, te stoki młodym, lipiastym pokryte lasem z dala już umożliwiające widzenie i nacieszenie się na sztych idącemi dzikami, zanim suchy trzask szlachetnej broni nie zmąci ich szyków, te stare drzewostany, w których z daleka jak z bronzu wykuta rysuje się sylweta potężnego odyńca; jego nerwy nie czułe na piskliwy głos ujadającego obok pieska, stoi jak skamieniały, tylko wielkie uszy drgają i szybko łapią odgłos cicho po miękkim śniegu posuwającego się człowieka i rusza w silnych krótkich susach, śnieg daleko z pod rapet wylatuje, już mija stanowisko, odgłos strzału długo huczy i odbija się od ścianek, odyniec trafiony na komorę (trochę za nisko) potyka się, lecz jak koń dobrze w cuglach trzymany, nie zwalnia biegu, bieg to jego ostatni, jeszcze kilka susów i potężne cielsko wali się na bok.

Już słońce wychyliło się z za góry i oświeca wierzchy stuletnich topól, siadamy na sanie, szybko mkniemy doliną uroczego „Koropczyka“. Na moście, gdzie zbiegają się drogi z różnych części rewiru, oczekuje nas nadleśniczy, uśmiecha się, bo też niema czego się trapić, raport jego jak zwykle świetny, dziki są. Tropiciele nie wszyscy jeszcze wrócili, lecz on pewny swej kniei, zawodu nie robi; nie czekamy długo, schodzą się jeden po drugim i zadyszani łapiąc powietrze płucami, meldują rezultaty tropień, ostatni przychodzi stary gajowy senior tropicieli, nieomylny, staje i założywszy ręce na piersiach, zdaje relacje. Tropił „Pohoryle“, „w perszym mioci wisim: try wełyke, piat' menszych, w druchim try: wsi wełyki, w tretim szestero ne duże wełyke, ałe i ne małe, w czetwertym oden duże wełykij“. Szybka decyzja, ruszamy, w miocie zwanym „Fastową“ stajemy nad parowem, za nim długi stok rzadko

przewaliło się ich zbite i karnie prowadzone stado. To one odstraszyły gdzieś hen od jego chałupy wszelką zwierzynę. Gdyby mu się udało ubić choć jednego wilka i sprzątnąć go, zanim żarłoczni właśni bracia go rozszarpią i pożrą, wtedy mógłby jego mięsem choć na krótki czas wzmocnić swój wycieńczony organizm. Lecz tym razem przemknęła dzika zgraja poza granicę strzału i zniknęła w puszczy bez śladu. I znowu nastały dla nieszczęsnego samotnika nowe dni bolesnego wyczekiwania, podczas których ciało trawiły głodowe męki, a mózg rozmajaczony, przepojony śmiertelnym smutkiem myśli.

Aż znowu zbudziło go jednego dnia z letargu szczekliwe granie wilczego stada tuż w pobliżu. Z strzelbą gotową do strzału, wywlókł się do drzwi. Jeszcze nie było nic widać. Wilki były zakryte skałą. Lecz po paru już sekundach, doświadczone jego ucho rozróżniło, że niestety nagle zmieniły kierunek w biegu i że nietylko nie wypadną na odległość strzału, ale, że nawet całkiem z chaty ich nie zobaczy. Chwilę się zawahał. Rozgłośność chóru wilczego zdradzała, jak bardzo licznem jest stado. Ze złamaną nogą, która mu tylko ciężarem była, nie mógł myśleć o wdaniu się z nimi w walkę na otwartej przestrzeni. A jednak zadecydował: lepiej paść, niźli marnie zamarznąć lub z głodu konać. Magazyn jego karabinu był pełny, przepasał pas z patronami i począł czołgać się po śniegu, okrążając cypel skalisty, by dotrzeć do miejsca, skądby mógł okiem ogarnąć łowiecki szlak wilków. I ujrzał nagle na nie całe sto kroków od siebie sterczącego w pozycji bojowej niedźwiedzia, a wokół niego rojącą się rozwściekloną hordę wilków! Pierwszą jego myślą było, zastrzelić niedźwiedzia. Niedźwiedzie mięso, toby było coś wspaniałego! Ale nie, przecież on sam nie skosztowałby ani kęsa z tej zdobyczy. Począł liczyć wilki, gdy w tem ujrzał za pierwszem stadem nadciągające drugie, jeszcze znacznie rojniejsze.

Był w beznadziejnem położeniu i tylko, by drogo sprzedać życie, wsunął się jak mógł w skalne zagłębienie i stojąc, czekał gotowy do boju, tak, jak niedźwiedź zabezpieczony od tyłu. Mijały dłużące się minuty, w czasie których niedźwiedź stał wsparty na zadzie i śledził ze złowrogiem natężeniem ruchy swych wrogów, które choć same nigdy nie znużone, obdarzone płucami jak ze stali, dawały jemu czas odpocząć i przyjść do tchu. Nawet się nie naradzały! Zdawało się, że między przewódcą a resztą stada niema żadnej wymiany zapatrywań na sposób dalszego działania. A mimo to, w pewnej chwili nagle, jakby na błyskawicznie szepnięty rozkaz, rzucił się do skoku wódz, a z nim jednocześnie cała horda. Wódz był nietylko większy i silniejszy, niż jego towarzysze, — ale i mądrzejszy! Wiedział, jaki nieunikniony los czeka pierwszego napastnika, więc już tuż prawie w łapach niedźwiedzia, rzucił się nagle wstecz, opadając na ziemię i pozwolił, by pośledniejsze wilki poszły we ściekłym szale bojowym prosto na rzeź. Najbliższy za nim wilk, dostał taki straszny cios łapą niedźwiedzia, że mu zgniótł łeb w łopatki, a ciało zmiażdżył na bryłę mięsa, którą właśni towarzysze wokamgnieniu rozszarpali w sztuki i pożarli. Tego to ciosu morderczego uniknął przewódca, lecz nie dlatego, by był

porosły, ileż wspomnień widok tego parowu daje, nad nim najpiękniejsze odbyły się spotkania, brzegi jego gęsto skropione dziczą posoką, widział już kwadruplety, widział parę tryplet, widział — rzekłbyś, egzotyczne zwierzę, potężnego srokacza. Z za góry dolatują ciche odgłosy zbliżającej się nagonki, ostro odbija się od niej piskliwy głos pieska, już widać czarne sylwetki, posuwają się pomału, ciągle zmieniając kierunek, ciągle przystając, za nimi piesek prawie niewidoczny, jeszcze chwil kilka cudownego widoku i dziki spuszczają się w fatalny dla nich parów, spuszczają się, lecz niejeden wyjść zeń już nie zdoła. Idziemy dalej, dzień cały nerwy napięte, dzień cały emocja nie ustępuje, a gdy w końcu wracamy do domu, gdy po dokładnem oglądnięciu i zważeniu zabitych sztuk, kładziemy się na spoczynek, jeszcze w snach dziki się nam majaczą.

Polowaliśmy w tym sezonie, a więc w listopadzie i grudniu 1922 r. i w styczniu 1923 r. czterokrotnie, razem dni dziewięć, pięć dni w dwie strzelby, cztery dni w trzy strzelby, dzików padło 33, najwięcej w jednym dniu 13. w jednym dniu najwięcej na jednego myśliwego wypadło 7.



Korespondencje.

Rzemień, w lutym, 1923.

Jeszcze w obronie dzika.

Z prawdziwą przyjemnością czytałem w „Łowcu“ ze stycznia artykuł Hieronima hr. Tarnowskiego, w którym to artykule domaga się ochrony dzików. Widzę, że są jeszcze prawdziwi myśliwi, którzy, oprócz polowania na dziki, myślą i o ochronie tego zwierza, którego ilość z każdym u nas rokiem maleje. Statystyki wykazały, jak zawzięcie są te zwierzęta tępione, właściwie bez przyczyny.

Strzelają do nich wszyscy, powołani i niepowołani myśliwi. Utartym niestety jest zwyczajem, strzelać zawsze bez względu na porę, dziki, jako najgorsze szkodniki w naszych lasach. Mylne są jednak takie pojęcia, ponieważ dzik, tępiąc wielkie ilości różnorakiego robactwa, które niszczy drzewostany, większą oddaje nam przysługę, niż wyrządza szkody.

Dlaczego więc dzik ma być całkiem „wyjęty z pod prawa“ i nie mieć, tak jak inna szkodliwa zwierzyna (n. p. jeleń) swego czasu ochronnego?

Chyba na to, by za lat kilka być rzadkim okazem fauny naszych lasów! Polowanie, a raczej tępienie dzików u nas tak dalece się rozpowszechniło, że każdy prawie właściciel polowania, czy też strażnik lub chłop, ma przynajmniej jednego psa dzikarza, przy którym przez cały niemal rok na dziki poluje. To „pieskowe“ polowanie“ najwięcej dzikom szkodzi, ponieważ nie trudno jest przy psach dzika dojść i strzelić. Najbardziej jednak szkodliwem jest polowanie na dziki w miesiącu lutym, kiedy lochy chodzą prośne, bo wtenczas zabijając prośną lochę, zabija się kilka dzików odrazu. Jeden myśliwy chwalił się przedemną, że strzelił przy psie w lutym trzy lochy, z tego dwie prośne, z licznem potomstwem w łonie! Każdy chyba rozumie, do czego prowadzi takie polowanie! Czas najwyższy, by dzika wziąć w obronę i nie pozwolić go niszczyć w każdej porze roku.

Panowie myśliwi, opamiętajcie się zawczasu, nie niszczcie tak systematycznie dzików, bo w przeciwnym razie nie długo będziecie się cieszyć polowaniem na nie, gdyż wkrótce może ich całkiem braknie!!

Antoni Szaszkiewicz

* * *

tchórzem. W chwili bowiem, w której cios padł, rzucił się spodem popod podniesioną w tym momencie wysoko łapę niedźwiedzia i wpił mu straszliwe swe kły w odsłonięty bok, wyszarpując w jego cielsku głęboką ranę.

Lecz i jego śmiałość szybko została ukarana. Zanim mógł się wycofać i wstecz odskoczyć, dosięgnęła go lewa łapa niedźwiedzia i już i on leżał z przetrąconym stosem pacierzowym pod nogami swych towarzyszy. Zniknął pod pod nimi, lecz jednocześnie zniknęła i czarna postać niedźwiedzia, zalana i zatopiona falą wilczych, szarych futer. Lecz już w najbliższej chwili, załamała się ta żywa fala i odpłynęła wstecz. Z łapami w powietrzu, z grzbietami skabłączonymi jak u szczeniaków, pokoziołkowało kilka wilków, jak wyrzucone z procy i padło w śnieg z płonącemi oczyma, paszczą i grzbietem purpurowymi od krwi własnej i krwi druhów. Zaś niedźwiedź otrząsnął się i znowu stał wyprostowany w zapaśniczej pozycji.

— Zuch z ciebie kolego! — krzyknął z zachwytem Tatch, który na widok tego zwycięzkiego boju, zapomniał o wszelkiej ostrożności.

Niedźwiedź, jak się zdawało, nie zwrócił uwagi na ten okrzyk uznania, gdyż cała jego uwaga była skierowana na to, aby wiatrakowym rozmachem łap, utrzymywać w szachu podsuwajace się znów bliżej wilki, lecz posłyszały okrzyk te wilki, które znajdowały się w zewnętrznych szeregach napastniczych i w tej chwili ich połyskujące ślepia zwróciły się za głosem i dostrzegły zaraz postać człowieka. Wokamgnieniu ze dwadzieścia wilków hurmą rzuciło się ku niemu.

Job Tatch zaledwie miał czas wycelować, gdy już za pierwszą linją napastników, wynurzyły się dalsze szeregi. Zagrzechotał jego karabin tak szybko, jak tylko mógł nadążyć w pociąganiu cyngla i pierwsze wilki położyły się pokotem. Następujące za nimi rzuciły się na świeże ścierwo, zbyt wygłodzone, aby o czem innem myśleć, jak tylko o bolesnym głodzie, szarpiącym ich trzewia. Trzy jednak wilki wolały walkę i dopadły Joba. W ostatniej chwili ubił jeszcze jednego strzałem, pozostałe dwa, rzuciły się nań, nim zdążył ponownie karabin zrepetować. Jednemu roztrzaskał barki kolbą, drugi wżarł mu się w nogę. W jego złamaną nogę — więc Job Tatch roześmiał się szyderczo, widząc z jak zajadłą wściekłością straszliwe zęby wpijały się — tylko w drzewo. Spadła z rozmachem jego siekiera, purpurowa struga bluznęła po śniegu i wilk był już tylko przynętą dla łakomych towarzyszy.

Z tryumfem począł teraz patrzeć człowiek, jak stoi sprawa u niedźwiedzia. Tam wrzała jeszcze bitwa z całą gwałtownością. Jeszcze sterczała czarna, krwią ociekająca głowa, hardo ponad rozszalałą wilczą bandę, jeszcze młóciły jego śmiercionośne łapy. Ale właśnie nadbiegała nowa horda, by wesprzeć osłabionych i przerzedzonych współplemieńców.

Widocznem było, że dzielny staruch będzie musiał wkrótce uledz przemocy. Job chwycił za karabin i szybko napełniwszy magazyn, sypnął ołowiem w nadciągające nowe stado.

Huk wystrzałów i ich morderczy skutek wybawiły niedźwiedzia z śmiertelnej opresji. Atakujące wilki z peł-

Czortków, w lutym, 1923.

Wypełniając jeden z obowiązków delegata, przesyłamy sprawozdanie z ubiegłego sezonu z odbytych polowań, ich wyników i stanu zwierzyny w powiecie czortkowskim i najbliższej okolicy.

W szczególności członkowie Towarzystwa brali udział w następujących polowaniach:

Dnia 17. października 1922 w lesie w Zwiniaczu hr. Reja, strzelb 8, strzałów 28, rozkład 7 zajęcy i 3 lisy.

Dnia 22. listopada 1922 w Dawidkowcach, 2 mioty leśne i kociołki, 5 strzelb, rozkład 6 zajęcy.

Dnia 25. listopada 1922 w Zwiniaczu, teren dzierżawiony przez Tow., 5 miotów leśnych i 5 kociołków, strzelb 14, strzałów 74, rozkład 39 zajęcy.

Dnia 29. listopada 1922, leśne, w Znibrodach, 8 miotów, strzelb 11, rzkład 11 zajęcy i lis, 2 dziki poszły bez strzału.

Dnia 28. listopada 1922, w Zwierzyńcu ad Jagielnica, częścią leśne, częścią w kociołkach, strzelb 12, rozkład 40 zajęcy.

Dnia 1. grudnia 1922, leśne, w Halileji ad Jagielnica, strzelb 20, rozkład 120 zajęcy i lis.

Dnia 5. grudnia 1922, polne, w Sosołówce ad Jagielnica, strzelb 14, rozkład 55 zajęcy.

Dnia 9. grudnia 1922, leśne, w Białej, gminne, dzierżawione przez Tow., 11 strzelb, 21 strałów, rozkład 9 zajęcy. Silna zamieć śnieżna.

Dnia 15. grudnia 1922, leśne, w Halileji, 28 strzelb, rozkład 85 zajęcy, 1 lis. Widzianych 10 dzików, strzelano do dwu bez skutku.

Dnia 16. grudnia 192?, leśne, w Kopyczyńcach, 12 strzelb, rozkład 56 zajęcy i 2 lisy. Widzianych 12 dzików, strzelano dwa razy bez skutku.

Dnia 10. grudnia 1922, leśne, w Bielawinie ad Jagielnica, strzelb 21, rozkład 129 zajęcy, 1 lis. Dwa dni przed polowaniem było 6 dzików, strzelano bez skutku

Dnia 21. grudnia 1922, leśne, w Zadarowie, strzelb 12, rozkład 4 dziki i 17 zajęcy.

Dnia 23. grudnia 1922, polne, w Szmańkowcach, teren dzierżawiony przez Tow., strzelb 12, rozkład 3 zające, bardzo silna mgła.

Dnia 27. grudnia 1922, polne, w Muchawce, 9 strzelb, rozkład 41 zajęcy.

Dnia 29. grudnia 1922, leśne, w Szmańkowczykach, 14 strzelb, rozkład 35 zajęcy.

Dnia 27. i 28. grudnia 1922, w Uhryniu, leśne, strzelb 10, rozkład 120 zajęcy, 2 lisy.

Dnia 30. grudnia 1922, leśne, w Halileji, strzelb 26, rozkład 85 zajęcy i lis.

Dnia 13. stycznia 1923, w Szmańkowcach, leśne, strzelb 14, rozkład 35 zajęcy i 3 rogacze.

Dnia 15. stycznia 1923, leśne w Skomoroszu (dzierżawa Tow.), strzelb 15, rozkład 19. zajęcy.

Dnia 16. styczuia 1923, leśne, w Papierni, strzelb 18, rozkład 20 zajęcy.

Dnia 17. stycznia 1923, leśne, w Wierzbowcu, 10 strzelb, rozkład 22 zajęcy.

Dnia 20. stycznia 1923, leśne, w Bielawinie, 17 strzelb, rozkład 50 zajęcy, 1 lis.

Dnia 23. stycznia 1923, leśne, w Zalesiu, strzelb 14, rozkład 82 zajęcy.

Dnia 28. stycznia 1923, leśne, w Grabniku ad Husiatyn, strzelb 7, rozkład 61 zajęcy.

Dnia 27. stycznia 1923, leśne, w Dawidkowcach, strzelb 10, rozkład 18 zajęcy (zeszłego roku padło w tym rewirze 85 zajęcy).

Dnia 30. stycznia 1923, leśne, w Kopyczyńcach, strzelb 12, rozkład 70 zajęcy.

Dnia 30. i 31. stycznia, leśne, w Białej, strzelb 7, rozkiad 40 zajęcy. Dziki przeszły bez strzału.

W styczniu b. r. ubito 2 dziki na polach Kalinowszczyzny i Muchawki.

Z powyższego okazuje się, że jak na Podolu w tym roku, ze względu na fatalną zeszłoroczną wiosnę, słotną jesień i motylicę, stan zajęcy średni. Na polowaniach, na których padło stosunkowo bardzo mało, to nie z powodu braku zajęcy, lecz z powodu złej aury i śtrzelaniny, z wyjątkiem Dawidkowiec, gdzie kłusownictwa, mimo wszelkich wysiłków, wytępić nie możemy.

Bezwzględnie najlepszy zwierzostan jest w państwie Jagielnica, którego dyrekcja i zarząd lasów bardzo racjonalnie i troskliwie gospodarstwo łowieckie prowadzi. Stan sarn ogromnie się podniósł, n. p. w Halileji (największy kompleks lasów) prawie w każdym miocie sarny widzieliśmy. Odstrzelono tam pewną ilość kozłów w lecie zeszłego roku.

---

nemi paszczami krwawiącego mięsa, wyrywanego z umierających towarzyszy, cofnęły się, ostatniego, najzażartszego napastnika zmiażdżył niedźwiedź w śmiertelnym uścisku. Ostatnie zastępy wilczych zastępów nie miały już ochoty do boju Tak łatwo przychodziło im zaspokoić głód trupami towarzyszy, które całemi dziesiątkami zaległy plac walki. A gdy męczarnie głodu przestały im dokncząć, wtedy już każdy myślał raczej o wszystkiem innem, niż o krwawej rozprawie. Zwróciły słuchy w kierunku, skąd brzmiał odgłos suchych strzałów, wpatrywały się przez chwilę wytrzeszczonemi ślepiami w postać człowieka, który stał w skalnem wklęśnięciu, a potem, podwinąwszy pod siebie puszyste kity, jakby zgromione przez jakiś groźny głos, zbiły się rabusie w ściśniętą gromadę i nagle rzuciły się do panicznej, bezładnej ucieczki

Teraz także i niedźwiedź, nasyciwszy głód ścierwem swych pobitych wrogów. podniósł dumną, krwawą głowę i patrzył nieufnym, podejrzliwym wzrokiem na Joba Tatcha. Czy może to nowy wróg? Jeśli tak, to on jest gotów do nowego boju!

Job Tatch podniósł powoli karabin.

— Niedźwiedzie mięso lepsze od wilczego — mruknął do siebie, lecz po chwili opuścił strzelbę.

— Nie, kolego! — toby była zła podzięka — wszak walczyliśmy dzielnie razem! O, bo byłeś dzielny! Odejdź spokojnie, tylko w przyszłości nie nawijaj mi się tak blisko pod strzał!

Niedźwiedź powoli oddalił się, jakby zrozumiał życzliwą radę swego współtowarzysza boju. Zabrał tylko ścierwo jednego rabusia, jako prowiant na drogę. Wtedy i Job opuścił swoje stanowisko. Z ubitych wilków wybrał trzy najmłodsze, związał je razem za tylne nogi i powlókł je za sobą po śniegu do chaty. Postanowił powrócić jeszcze, gdy tylko obiad zgotuje, by wybrać najlepsze wilcze skóry. Wstydził się trochę swej sentymentalności, z powodu której darował niedźwiedziowi życie, usprawiedliwiał się sam przed sobą, przed swem myśliskiem sumieniem.

— Wszak to istny kościotrup, ten stary niedźwiedź! Stare, żylaste i łytowate mięso. Młody wilczek, dobrze ugotowany będzie smaczniejszy.

Gdy powoli doczołgał się ze swym łupem do blokhausu, na jego twardem obliczu widniało coś, jakby wyraz tryumfu. Przed oczyma jego snuł się pełen tajemniczej grozy obraz: niewidzialne, złe moce puszczy, które się tak okrutnie przeciwko niemu sprzysięgły, widział, pobite na głowę w panicznej ucieczce...



Dzików okazywało się dość wiele i na szczęście mało wybito, gdyż prześladowane cały rok, mogłyby być wkrótce zupełnie wytępione.

Lisów parszywych coraz mniej się spotyka.

Sprawy dzierżaw polowań gminnych, dzięki poparciu tut. Starostwa, zdołaliśmy prawie całkowicie uporządkować i da Bóg, z pożytkiem dla łowiectwa. *Towarz. myśl. w Czortkowie.*

* * *

Rzeszów, w lutym, 1923.

Sprawozdanie myśliwskie z Rzeszowa.

Ciepły i suchy marzec decyduje zazwyczaj o lepszym na cały rok stanie drobnej zwierzyny. Gdy zajęczy rzut marcowy wychowa się zdrowo, będzie na jesiennych polowaniach zajęcy więcej, choćby dlatego, że marczaki miewają już w sierpniu swoje pokolenie. Ponieważ marzec r. 1922 był wilgotny i zimny, uległy zagładzie wszystkie rzuty marcowe, zwłaszcza w rewirach odsłoniętych, pozbawionych ochronnych remiz i dlatego to na polowaniach polnych widziało się u nas i strzelało o wiele mniej zajęcy, niż jesienią r. 1921. Także i różne inne czynniki złożyły się na gorszy stan zwierzzny w ubiegłym sezonie. Dawniej rzadko kiedy widowało się wałęsające się psy, bezdomne; teraz zauważyć je można często i wszędzie. Nic nie pomoże śledzenie, ściganie i strzelanie tych swojskich rabusiów, zaprawionych do polowania przez wiejskich pastuchów, a poznających zdaja myśliwego i salwujących się przed strzałem ucieczką, nic wreszcie nie sprawi tu kontumacja... Przed wojną należały jastrzębie-gołębiarze (ale nie myszołowy) i sokoły wędrowne w powiecie rzeszowskim do rzadkości, bo tu zaznaczała się już wyższa kultura łowiecka. Obecnie widuje się gołębiarze nietylko po polach i wsiach, ale nawet w samem mieście. Polują sobie po ulicach na gołębie, a po ogrodach na drób. Kilka sztuk odstrzeliło się wprawdzie przypadkowo, gdy rabuś był zajęty skubaniem gołębia, kury lub kuropatwy, ale zostało ich jeszcze bardzo wiele; zresztą na miejsce odstrzelonego rabusia zjawia się zaraz inny i zajmuje zwolniony rejon. W dniu 18. lutego b. r. w południe widziałem bijące się nad miastem dwa sokoły wędrowne. Krakały donośnie. Większy wyganiał mniejszego, może zbłąkanego. Walka dwu powietrznych mocarzy tak ubezwładniająco podziałała na kawki i gawrony, że siedziały, jak martwe, bez ruchu, na gałęziach.

Jakże jednak tragicznie przedstawia stę wobec tylu sokołów i jastrzębi-gołębiarzy stan kuropatw i bażantów w powiecie! Gdy się w październiku korzystało z chwilowej pogody i wyjeżdżało w pole dla sprawdzenia zwierzostanu, widywało się niejedno spore stadko kuropatw. Strzelać nie było ochoty i potrzeby, bo kuropatw było za mało i Starostwo zamknęło na nie polowanie na wniosek Delegatów M. T. Ł. w całym powiecie na rok. Gdy jednak później n. p. w grudniu polowało się na tychsamych terenach, to albo się kuropatw wcale nie widywało, albo podnosiły się stadka zupełnie zdziesiątkowane, po kilka sztuk zaledwie liczące. Gdzież się więc podziały lube ptaki? Oto zniszczyły je jastrzębie-gołębiarze i sokoły, lub może nawet bardziej wyrośnięte krogulce... Na czarnej stopie jeszcze się kuropatwa jako tako skryje, przywaruje w oraninie i ujdzie wzroku jastrzębia, ale na śniegu, gdy jest zdala widzialna i taka dziwnie nieporadna, staje się jego pewnym łupem. Tem zaś niepomyślniej układają się warunki życiowe dla kuropatw u nas w zimie, że w wielu rewirach niema wcale żadnej ochrony w postaci remiz lub choćby krzaków. Sokół wędrowny bije na kuropatwy z góry, ale jeśli za pierwszem uderzeniem chybi, nie prześladuje swej ofiary i leci dalej. Gołębiarz natomiast, jeśli nie chwyci kuropatwy w locie, podąża za nią piechotą i wydobywa ją strasznymi szponami z gęstwiny. Przed nim na śniegu niema dla kuropatwy ocalenia. Dowodzą tego aż nadto wymownie te liczne ślady krwi i piór, pozostawione przez niego po uczcie na śniegu. Jeszcze w latach wojny bywały u nas bażanty. Chowały się wprawdzie dziko, ale trafiały się wszędzie. Rozmnożone nadmiernie jastrzębie i kłusownicy wytępili je doszczętnie...

Obecna zima, pełna niespodzianek atmosferycznych, raz śnieżna i mroźna, to znowu zbyt ciepła, nie wróży kuropatwom nic dobrego. Wystrzelanie jastrzębi ocali je chyba przed niechybną zagładą.

Kilka pięknyeh terenów dostali w ręce swoje chłopi, którym łatwiej było zapłacić w spółce miljonowe czynsze, aniżeli Towarzystwu myśliwskiemu. Wiejscy nemrodzi postarają się już o to, ażeby na kwitnących do niedawna obszarach, nie pozostał ani jeden zając.. Niewiele jeszcze pomaga praca uświadamiająca niektórych kolegów myśliwych, polegająca na szerzeniu słowem i przykładem wśród włościan kultury łowieckiej. Jeden z nich optymista, który dzierżawi kilka terenów, wybrał z pośród dobrych — najlepszych ludzi i powierzył im dozór swoich rewirów. Zapisał ich nawet do Mał. Tow. Łow., sprowadza im „Łowca“, pozwala polować razem z zaproszonymi gośćmi, zaprasza na śniadania, toastuje nawet na ich cześć i dowiaduje się w rezultacie, ku swemu zmartwieniu, że ci jego wybrani ludzie i zaprzysiężeni dozorcy, wybijają nocami do księżyca jego zające!... Epilog takich smutnych stosunków rozgrywa się więc przed sądem. I chłopska fides była nulla fides.

Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim wytrwałą, uświadamiającą pracą doprowadzimy do tego, że chłopek nasz zrozumi nareszcie, na czem polega ochrona zwierzyny, jakie ważne i wielkie znaczenie ma kultura łowiecka w życiu ekonomicznem państwa i że uszanuje cudzą własność. Dzierżawcy terenów, a mam na myśli ludzi z miasta, za mało także dbają o swoją zwierzynę. Troska ich o nią ogranicza się conajwyżej tylko do ustanowienia lepszych lub gorszych dozorców, odwiedzenia raz lub dwa razy w jesieni dzierżawionego terenu, odstrzelenia kilku zajęcy „na pomyka“ i urządzenia gremialnego polowania w grudniu lub styczniu. Na wydatek na paszę dla zwierzyny w czasie ostrej, śnieżnej zimy — ich nie stać. Tem trudniej mogą się zdobyć na sprowadzenie skądinnąd zwierzyuy, dla odświeżenia krwi. Na takiem tle przedstawiają się stosunki myśliwskie w powiecie rzeszowskim wcale niewesoło i delegaci, tudzież dzierżawcy terenów i myśliwi z Bożej łaski, muszą wiele trudów położyć, aby przeprowadzić sanację tego smutnego stanu. Że trudnem to będzie, to rzecz pewna, ale i możliwem, bo Władze państwowe idą delegatom zawsze na rękę, a wśród pracowników Policji państwowej spotyka coraz więcej ludzi, rozumiejących racjonalnie łowiectwo i swoje obowiązki, a więc tępiących bezwzględnie kłusownictwo, uprawiane przy pomocy strzelby, karabinu lub pętli drucianej.

Przechodzę do właściwego sprawozdania łowieckiego i podam wyniki polowań, w których uczestniczyłem, albo na które byłem proszony, w porządku chronologicznym:

Sezon rozpoczęliśmy dość późno, ze względu na niepomyślną pogodę. Pierwsze polowanie urządził p. Dr. Midowicz w dniu 11. listopzda w Wowi Zgłobieńskiej. Polowaliśmy na czarnej stopie i w deszczu. W kilku leśnych miotach padło w 22 strzelb: 12 zajęcy i 2 lisy. — Dnia 25. listopada polowaliśmy na terenie klubowym na polach Kielanówki i Racławówki na pstrokatej stopie. Padło w 19 strzelb 56 za.ęcy. U p. Antoniego Ilgnera zebrała się drużyna myśliwska w Przyłęku w dniach 1. i 2. grudnia. Polowaliśmy w lesie, zawalonym śniegami. Najlepsze zagajniki leżały pod śniehiem!... W 19 strzelb padło 22 zajęcy i lis. W tychsamych dniach odbyło się polowanie kniejowe w Kośmierzynie u p. Mieczysława Potockiego, z rozkładem 15 zajęcy, 2 lisów i 1 odyńca. Strzelb 12.

Dnia 9. grudnia urządzono polowanie klubowe na polach Malawy. Śniegi do pasa... Ubito w 16 strzelb 31 zajęcy na połowie terenu.

Dnia 14. grudnia polowano w Przewrotnem u p. Politalskiego i złożono na rozkładzie w 10 strzelb 27 zajęcy. Polowano tylko w lesie.

W dniu 16 grudnia mieliśmy u p. Dra Midowicza w Świlczy prawdziwą niespodziankę. Przy wspaniałej pogodzie, na wystarczającej zupełnie powłoce śniegowej, złożyliśmy w 22 strzelb 83 zajęcy. Było to najwydatniejsze polne polowanie w całym sezonie

Dnia 22 grudnia urządzono polowanie klubowe na polach Budziwoja. Niegdyś na czasów ks. Radziwiłła, padało tam ponad 200 zajęcy, średnio pięć lub sześć lisów i 4 rogacze. Obecnie teren to zupełnie jałowy, wyssany przez poprzedniego dzier-

żawcę, a trapiony przez plagę kłusowników, wobec których ustanowiona straż łowiecka była na razie bezsilną. W 11 strzelb zamęczono 1 zająca i po 3 miotach polowanie przerwano. Klub myśliwski dołoży wszelkich starań, aby w Budziwoju była zwierzyna.

Dnia 23 grudnia polowaliśmy u p. Stefana Rutkowskiego na polach przybyszówki i ubili w 12 strzelb 55 zajęcy i lisa. W tymsamym dniu odbyło się polowanie w Iwaniu Złotem u p. Grzegorza Zerygiewicza, na którem ubito w kilku leśnych miotach w 8 strzelb 41 zajęcy, 1 lisa i 1 rogacza. Z 17 dzików, które widziano, nie został ani jeden na rozkładzie.

Dnia 16. stycznia zabiliśmy u p. Ludwika Szaneckiego na polach Staroniwy w 16 strzelb przy bardzo pomyślnych warunkach atmosferycznych zaledwie 35 zajęcy. I ten teren, mimo, bliskości od Rzeszowa i czujnej dlatego opieki dzierżawcy, ucierpiał wiele od kłusowników.

Dnia 21. stycznia polowano w Trzcianie u p. bar. Henryka Chrisianiego i ubito w 7 strzelb 24 zajęcy. Polowano w błocie.

Dnia 27. stycznia polowaliśmy u p. Dra Midowicza w Woli Zgłobińskiej w niepolowanych przedtem miotach leśnych. W 15 strzelb padło: 12 zajęcy, 1 lis i 1 spory rogacz.

Na zakończenie sezonu i karnawału myśliwskiego, zebraliśmy się w dniu 31. stycznia na polach Bzianki i sąsiadującej z nią Przybyszówki (rewiry nie brane) i ubili w 15 strzelb 22 zajęcy. Pogodę mieliśmy fatalną w postaci niebywałej śnieżnej zamieci.

Na 12 polowaniach, urządzonych przez nasz zespół w powiecie rzeszowskim, padło razem: 41 zajęcy, 4 lisy, 1 rogacz, 2 jastrzębie. Rezultatu polowań w Kośmierzynie (pow. Buczacz), w Przyłęku (pow. Kolbuszowa) i w Iwaniu Złotem (pow. Zaleszczyki), nie uwzględniłem w powyższym bilansie.

Tylko w Świlczy i w Zgłobniu, gdzie dzierżawca rewirów myśliwskich miał lepszą straż i gdzie rokrocznie zostawia zasadniczo kilkaset morgów niepolowanych, były bardzo dobre rezultaty; wszędzie indziej stwierdziłiśmy marny stan zwierzyny...

Ciepła i sucha wiosna może poprawić stan zajęcy. Cieszmy się nadzieją! *Władysław Gürtler*

* * *

Łubów (p. Waręż), w marcu, 1923.

Polując w lasach kuliczkowskich pow. sokalskiego we wtorek 27. lutego b. r., na tropione dziki, na zupełnie białej stopie, słyszeliśmy koguta (cietrzewia) świszczącego i wabiącego kurę o godzinie 1 w południe, co, jako rzecz niezwykłą, podaję do wiadomości czytelników „Łowca“. *Miecz. Kruszewski.*





Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 8. marca 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi Cyryl Czarkowski-Golejewski i Albert Mniszek, członkowie Wydziału Jędrzejowicz, inż. Kamienobrodzki, Dr. Małaczyński, pułk Marjański, Pieńczykowski, Dr. Sander, Streer, zastępcy inż. Ebenberger i Reichard de Reichardsperg, zaproszony starosta Ulm.

Przy sprawozdaniu kasowem wzięto pod rozwagę budżet Towarzystwa na II. kwartał i stwierdzono, że wprawdzie finanse Towarzystwa nie przedstawiają się rozpaczliwie, jednakowoż ustawiczny wzrost kosztów wydawnictwa „Łowca“ i administracyjnych wzbudza obawę, czy Towarzystwo w ostatnim miesiącu tego kwartału zdoła utrzymać równowagę budżetową. Należy jednak ufać, że nasi myśliwi uprzytomnią sobie, jaką to niekorzyścią byłoby dla łowiectwa krajowego, gdyby dla braku funduszów trzeba było znowu wydawnictwo „Łowca“ zawieszać lub wydatki na popieranie spraw kultury łowieckiej, utrzymania kontaktu z delegatami i członkami Towarzystwa i t. p. choćby tylko umniejszyć. Regularny wpływ wkładek obowiązujących i naddatki we formie dobrowolnej daniny myśliwskiej, której listy, wobec tych stosunków, ciągle jeszcze nie zamykamy, zdolne będą sprawić, by nie nadeszła wcale taka chwila, w której Wydział wobec koniecznych lub pożytecznych wydatków, musiał sobie powiedzieć „non possumus“.

A mimo tych niezbyt wesołych horoskopów Wydział Towarzystwa, przeglądnąwszy wykaz członków, wkładkami za I kwartał jeszcze zalegających, doszedł do przekonania, że obok członków, którzy wkładki tej dotąd z opieszałości lub przez przeoczenie nie zapłacili, są zapewne i tacy, którzy jej nie mogli zapłacić, bo ich dochody nie wzrosły równomiernie ze spadkiem waluty, do którego wysokość wkładek stosować się musi.

Wydział zdając sobie sprawę z misji kulturalnej, na Towarzystwie ciążącej, zaprasza tych członków, szczególnie ze sfer służby lasowej i łowieckiej, aby znaleźli dość cywilnej odwagi do przyznania się, że im wydatek na przynależność do Towarzystwa stał się zbyt uciążliwym i aby przez brak tej odwagi nie pozbawiali się kontaktu z Towarzystwem i lektury „Łowca“.

Wszelkie zawiadomienia o trudności płacenia podwyższonych, a w następnych kwartałach niewątpliwie jeszcze wyższych wkładek, Wydział życzliwie zawsze rozpatrzy, a zatwierdzenie całkowitego lub częściowego zwolnienia od płacenia wkładki u bliskiego Walnego Zgromadzenia wyjedna.

W myśl referatu wiceprezesa Czarkowskiego zamianowano w dalszym ciągu delegatami:

Dr. Józefa Surzyckiego w Krakowie na powiat krakowski, Stanisława Chorubskiego w Buczkowicach na powiat bialski, Władysława Małeckiego w Roznoszyńcach na powiat zbaraski, Ludwika Wiśniewskiego w Dźwiniaczu na powiat liski, Dr. Henryka Frisera w Lubaczowie i Alfreda Liptaya w Łówczy na powiat cieszanowski, Dr. Zygmunta Łubkowskiego w Pantalowicach i Dr. Marjana Nowińskiego w Trynczy na powiat przeworski, Tadeusza Romanowskiego w Spasowie na powiat sokalski, inż. Ernesta Tilla na powiat kossowski, Stanisława Graffa

w Pietruszej woli na powiat strzyżowski i Czesława Łopuskiego w Strzegocicach na powiat pilzneński.

Przyjęto do wiadomości złożenie mandatu ze strony Edwarda hr. Mycielskiego na powiat chrzanowski z powodu przesiedlenia do Wielkopolski.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto:

Dr. Franciszka Bałaszeskula, Stanisława Chorubskiego, Jana Danka, Jana Inglota, Włodzimierza Jaworskiego, Stanisława Kaszubę, Kazimierza Machla, Gustawa Manasterskiego, Eugeniusza Oberskiego, Bolesława Pacułę, Powiatowe Towarzystwo łowieckie w Turce, Rudolfa Sikorę, Alfreda Tęczarowskiego, Józefa Wyslonżila, Adama hr. Zamojskiego i Jana Żurowskiego.

Dalsze zgłoszenia w toku informacji u delegatów

W sprawie dorocznego Zjazdu wybrano Komitet strzelnicowy. Termin Zjazdu i premiowego strzelania ogłoszony zostanie w majowym numerze „Łowca“.

Spadkobiercom ś. p. Józefa hr. Potockiego uchwalono wyrazić gorące podziękowanie za zezwolenie przedruku w „Łowcu“ „Polowania nad Setitem“, ostatniej pracy nieodżałowanej pamięci Zmarłego.

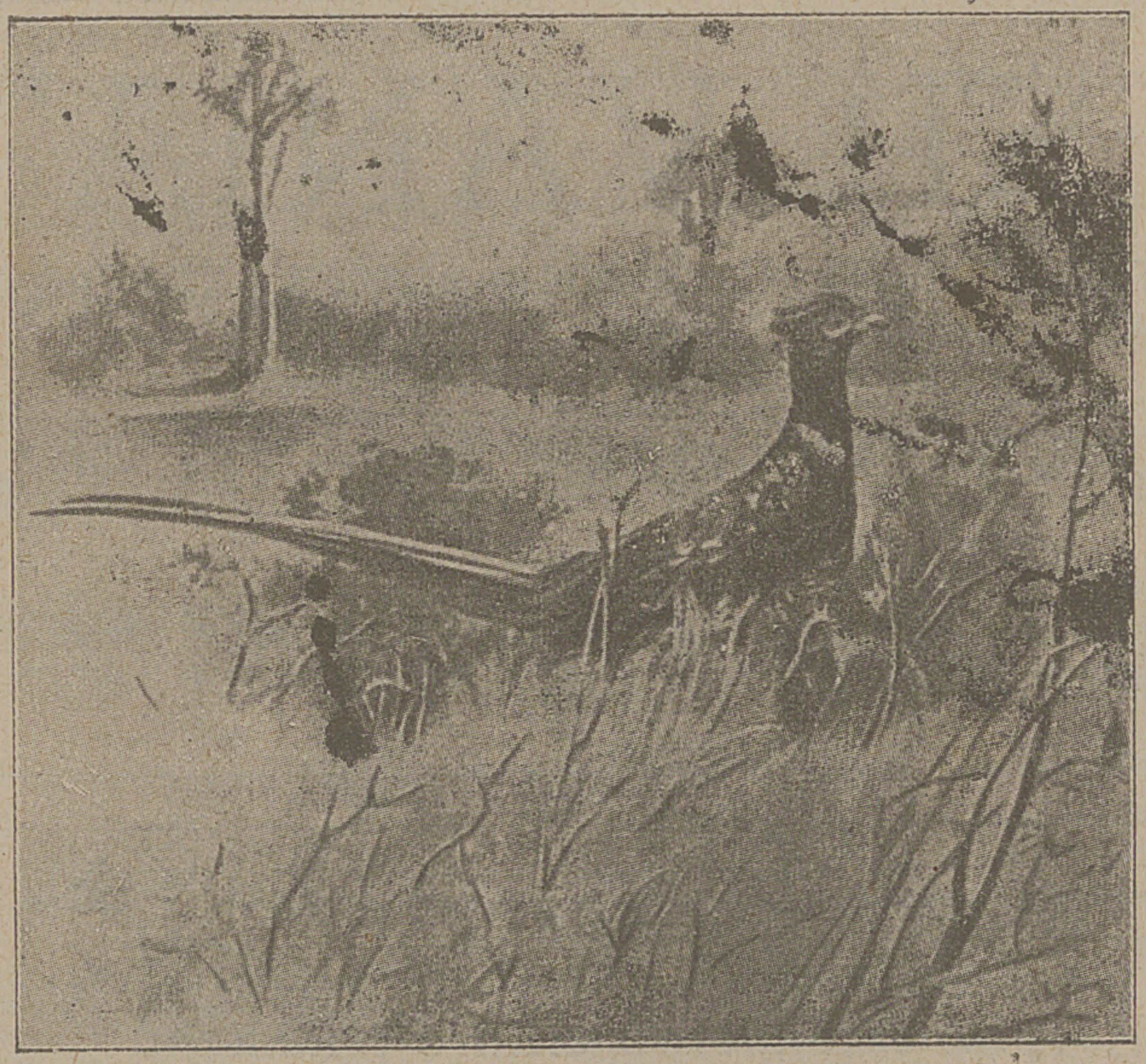
Termin następnego pzsiedzenia ustanowiono na dzień 9. kwietnia 1923.

* * *

SPRAWOZDANIE
z nadzwyczajnego posiedzenia Wydziału z d. 21/III. 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wicepr. Mniszek i czł. Wydziału J. Ćwirzewicz, Garapich, Jędrzejowicz, inż. Kamienobrodzki, Münter, Pieńczykowski, Prek, Dr. Sander i Streer.

Po załatwieniu kilku spraw administracyjnych, powzięto uchwałę wystosowania pisma odpowiedniego do Pana Wojewody krakowskiego z prośbą o spowodowanie podległych sobie Starostw, by zechciały respektować w sprawach łowieckich głosy delegatów M. T. Ł., czego one, odmiennie, niż to się dzieje w innych Województwach Małopolskich, dotychczas czynić nie chcą. Uchwalono też odnieść się do Starostwa lwowskiego o zamknięcie polowania na wszelką zwierzynę łowną w obrębie Spółek łowieckich w Podsadkach i w Miłoszowicach do 31. stycznia 1924, a to z powodu zupełnego wyniszczenia zwierzostanów na tych terenach.



OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Zwracamy jeszcze raz uwagę na ustęp sprawozdania z posiedzenia Wydziału, dotyczący spraw finansowych Towarzystwa.

Wydział, chcąc przynależność do Towarzystwa i czytanie „Łowca“ umożliwić szerokim kołom łowieckim, nie może wkładki podnosić tak wysoko, jakby to spadkiem waluty i wydatkami do spadku tego się stosującemi, było wskazanem, domaga się jednak w imię dobra łowiectwa i Towarzystwa, przynajmniej regularnego płacenia wkładek uchwalonych.

Przypominamy, że **wkładka za I-gi kwartał wynosi 8.000 Mkp. i powinna być jaknajrychlej uiszczoną** czekami P. K. O, do zeszytu marcowego dołączonemi. W razie zatracenia blankietu czekowego, zwracamy uwagę na konto nasze P. K. O. Nr. 145.839.

Dobrowolną daninę myśliwską w dalszym ciągu złożyli:

Tadeusz Simon 5.000, Stanisław Samolewicz 5.000, Jan Biliński 10.000, Roman Lisowski 2.000, inż. Aleksander Reichard de Reichardsperg 5.000, Kazimierz Fangor 5.000, Benedykt Krzywobłocki 3.000, Marjan Kafka 15.000, Mieczysław Małobęcki 5.000, Walenty Ziołecki 5.000, inż. Jan Mazur 2.000, Karol Jarosz 7.000, Juliusz Rotkoehl 2.000, Włodzimierz Pląskowski 2.000, Dr. Stanisław Koźmian Reicher 10.000, Wincenty Cybulski 2.000, Dr. Marjan Kostołowski 10.000, Antoni Budzianowski ponownie 2.000, Jan Biesiadecki 2.000.

* * *

Zarząd sklepu „Arma“ prosi nas o zamieszczenie następującego komunikatu: Na liczne zapytania P. T. myśliwych o cenę trzylufków z dwiema trójkami luf (t. j. dwie lufy kulowe i jedna śrutowa, tudzież dwie śrutowe i jedna kulowa), odpowiadamy tą drogą, że cena ich w pierwszorzędnem wykonaniu bez kurków, z cłem i kosztami przywozu, wynosi około 2.450 franków belg. z terminem wykończenia 2 do 4 miesięcy. Cena trzylufka bez luf dodatkowych wynosi o 450 fr. b. mniej.



Sprostowania i uzupełnienia.

Na posiedzeniu Wydziału w dniu 7. lutego 1923 zamianowany został delegatem na powiat husiatyński Pan Józef Jabłonowski.

W poczet członków na temże posiedzeniu przyjęci zostali Panowie: Dr. Adam Gnoiński (nie Jan) i Włodzimierz Krzyszkowski (nie Krzeczkowski).

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.